

Antoś zaczął zbierać zapowiedzianą sumkę dolarów. Jacek sięgnął do kieszeni po swoje, zdjął marynarkę, podwinął rękaw od koszuli i łokciem próbował zmierzyć temperaturę wody. Ktoś z nas powiadomił o tym szaleństwie przewodniczkę tej egzotycznej wyprawy:

– Stój! Co pan robi? Nie wolno! – wrzasnęła ile sił w płucach. – Wrzątek!... Dziewięćdziesiąt stopni Celsjusza... Ręka się ugotuje...

Do zakładu nie doszło, ale pomysł Gmocha mobilizująco wpłynął na całą drużynę. Następnego dnia, przy pięknej, bezwietrznej pogodzie, co o tej porze roku w Islandii jest rzadkością, godnie pożegnali swojego trenera. Islandia – Polska 0:2! Znowu na wysokości zadania stanął Grzegorz Lato, wreszcie celnie strzelił Marek Kusto. Relacjonując przebieg tego meczu dla „Piłki Nożnej”, nawiązałem do korzystnej dla nas aury. **„Gmoch jest w czepku urodzony”** – wrzeszczałem przez telefon. – **„Nawet niebo jest mu przychylnie. Pięknie było dziś w Reykjaviku”**. Podważyłem przy tym niektóre decyzje personalne selekcjonera. Nie za bardzo byłem w stanie zrozumieć ukłon Jacka wobec Tadeusza Błachny, a pominięcie w składzie – pod nieobecność Deyny – Janusza Kupcewicza. Czyżby Boniek przyłożył do tego swoją widzowską cegiełkę? Jacek za drzwiami podsłuchiwał moją rozmowę z Warszawą... Gdy tekst był już w redakcji przy ulicy Wawelskiej, wskoczył z pretensjami do mojego pokoju:

– W czepku urodzony? W jakim czepku?!... Idealista... To wszystko było przemyślane... Aura nie miała z tym nic wspólnego... A twój pupilek Januszek musi jeszcze poczekać na swoją szansę...

Pozostaliśmy przy swoich zadaniach, ale późnym wieczorem puściliśmy to wszystko w niepamięć. Gmoch postawił nawet butelkę whisky, którą kupił na lotniku w Oslo. Zaprosiliśmy szefa ekipy Zbigniewa Należytego oraz Grzesia Stańskiego wówczas dziennikarza „Sportu” Katowice i zasiedliśmy do brydza.

Przed północą pojawił się Janusz Dudek i... przestawiliśmy się na pokera. Dolar w tym towarzystwie miał wtedy wartość stu złotych.

Następnego dnia spacerowaliśmy po Reykjavíku. W magazynach piękne kozuchy, ale nie na naszą kieszeń. Inżynier Należyty wolał więc zwiedzać miejscowe zabytki. Trafiliśmy nawet do miejscowego więzienia. Tu zaskoczenie jeszcze większe niż podziwiana pogoda i dobry wynik meczu. Cele więzienne porażają przepychem. W naszych szpitalach rzadko spotyka się tak schludnie urządzone, nawet najlepsze gabinety lekarskie. Czysto, luźno, skazani paradują w białych kitlach, niczym ordynatorzy lecznicy. W całym tym „miejscu odosobnienia” dostrzegamy tylko dwóch „pacjentów”. Gdzie reszta? Przewodniczka zdradza sekret niezwykły: – U nas w ogóle więźniów jak na lekarstwo. Ci dwaj, to przebrani strażnicy... na ochotnika. Przecież jakoś dziwnie by to wyglądało, gdybyśmy pokazywali wam więzienie bez więźniów...

Następcą Jacka Gmocha został Ryszard Kulesza, wychowanek Okęcia Warszawa. Zaraz po wojnie, w meczach z Czechosłowacją grał w reprezentacji Polski juniorów, później związał się z Polonią Warszawa, bronił też barw Polonii Bydgoszcz. Miły człowiek, zawsze pogodny i uśmiechnięty, niekiedy można było odnieść wrażenie, że nie „pasował” do tak męskiej gry, jaką jest pika nożna. Zbyt układny i tolerancyjny. Całkowite przeciwieństwo Jacusia. Zanim przejął reprezentację narodową „alfabetu trenerskiego” uczył się w Ludowych Zespołach Sportowych i w kilku klubach niższych klas na Mazowszu, w Lechii Gdańsk, wreszcie w PZPN w towarzystwie Ryszarda Koncewicza, Kazimierza Górskiego, Edmunda Zientary, Jacka Gmocha i Andrzeja Strejlaua.

„Pan Rysio”, zwany też „Loczkiem”, bo tak go ochrzcił trener Górski, był powszechnie lubiany i podziwiany za dżentelmeńską postawę. Kazio przy każdej okazji powtarzał, że jego młodszy kolega elegancko się ubiera, a buty ma z reguły jeszcze bardziej błyszczące niż lakierki. „Kulka”, bo i tak wybierzmowano

Rysia w Polonii Warszawa, nie był selekcjonerem z przypadku. Wcześniej z powodzeniem budował zespoły Under – 23 i Under – 21, choć najczęściej z winy klubów prawie nigdy nie mógł skorzystać z usług wszystkich wyróżniających się młodych zawodników. Kulesza był też w drugiej połowie lat siedemdziesiątych trenerem reprezentacji B. Przeszedł więc wszystkie szczeble „reprezentacyjnego wtajemniczenia”. Przed nim niewielu trenerów – selekcjonerów przeszło podobną drogę. Co więc zwojuje „pan Rysio”? Czy zdoła nawiązać do medalowej ery „pana Kazia”?...

„BANDYTA” Z MONTE CARLO

Debiut Kulesza miał nieudany, jego wybrańcy przegrali wyjazdowy mecz z Rumunią 0 :1, ale już następne gry o punkty i towarzyskie ze Szwajcarią, Tunezją, Algierią i Węgrami były obiecujące. Pierwszego meczu Rysia ze Szwajcarią z cyklu eliminacji mistrzostw Europy nie oglądałem, bo akurat wtedy (znowu w nagrodę za dobrą pracę na XXXI Turnieju UEFA w Krakowie) byłem z reprezentacją Polski juniorów w Monako na VIII Międzynarodowym Turnieju o Puchar Księcia Alberta. Piękna impreza nie tylko pod względem piłkarskim. Bogaty program pozasportowy. Poziom i precyzja szwajcarskiego zegarka. Na futbolowych zawodach to się nieczęsto zdarza.

Najpierw przyjął nas mer Monte Carlo, potem zabawialiśmy zwierzęta w ZOO, a śródziemnomorską roślinnością i kwiatami zachwycaliśmy się w ogrodzie botanicznym. Dzieła sztuki pokazano nam w tamtejszym muzeum, zaproszono do pałacu księcia Alberta, wreszcie z własnej inicjatywy odwiedziliśmy słynne kasyno gry w Monte Carlo. Mieszkaliśmy w hotelu Beach Plaza, ale poznaliśmy też wspaniałości Hotelu de Paris, w którym niegdyś buszował Arsen Lupin. Tam właśnie na półmetku turnieju na wystawny obiad zaprosił nas sam

książę Albert. Na przyjęciu i w pałacu robiono nam pamiątkowe zdjęcia. Przesłano je wkrótce na adres PZPN w Warszawie. Na jednej z fotek jestem blisko, niemal ramię w ramię z uroczym księciem. Jak on kocha piłkę i ludzi futbolu?!...

Już choćby z racji półzawodowej w przeszłości gry w bilard i najczęściej półamatorskiej w karty, mam w sobie coś niecoś z hazardzisty, Nie to co Miruś Skórzewski, który w poszukiwaniu fortuny bywał nawet w Las Vegas, ale nie mogłem odmówić sobie, chociaż przez moment bycia krezusem w kasynie Monte Carlo. Szczęście było nawet blisko, wykręciłem trzy pełne siódemki i... niecałą czwartą. Coś się zacięło. Niegdyś w kopenhaskim „Tivoli” własnymi rękami rozbiłem bank na strzelnicy, a tu jakiś mechaniczny „bandyta” zabrał mi całe kieszonkowe. Marian Bednarczyk szukał po sali krupiera, usiłował interweniować, zapytać, dlaczego nie pokazała się czwarta siódemka. Machał rękami, coś pokazywał, ale nic nie wskórał. Bariera językowa była za duża. Jednak przed hotelem Beach Plaza jakimś cudem grywał z obcokrajowcami w brydża. Przy panienkach w stroju topless pozował na playboya! Zdejmował koszulę i z lubością wystawiał na słońce swój tłusty brzuch. Do neglizu zachęcał francuskiego arbitra Michela Vautrota.

Któregoś popołudnia wybrałem się do szkoły trenerskiej w Palais des Congres. Rozprawiano o pracy z młodzieżą i zasadach selekcji. Nic nowego, rzeczy powszechnie znane. W dyskusji z sensem głos zabrał Henryk Apostel. Ze szczególną uwagą przyjęto jednak wystąpienie selekcjonera z Anglii, R. Greenwooda. Chwalił profesjonalizm w futbolu, natomiast mocno zgańił wszelkie przejawy amatorszczyzny. Co to właściwie jest amatorszczyzna? – pytali zebrani. Odpowiedział: – **Bimbanie na treningach i balanga poza boiskiem!** W szkoleniu młodzieży najmocniej zaakcentował potrzebę treningu indywidualnego. Mocno poparł go Sergiej Korszunow z federacji rosyjskiej. Nasza delegacja wyraziła podobną opinię.

Tymczasem w krajowym piłkarstwie nastąpiło sporo planowanych i nie zamierzonych zmian. Dramaty, nawet tragedie, mało radości. Kruszył się Wydział Szkolenia, po przejściu na zawodowstwo Deyny, Laty i Tomaszewskiego, rozpadł się silny dotychczas trzon reprezentacji. Górnik Zabrze spadł do II ligi. Radość tylko w Krakowie – po 28 latach wzlotów i upadków Wisła znowu mistrzem Polski. Żałoba w PZPN – w dwóch odrębnych wypadkach samochodowych zginęli dotychczasowy prezes Edward Sznajder i sekretarz generalny, Zygmunt Buhl. Zmarłego prezesa zastąpił generał Marian Ryba, a sekretarza – Konrad Kaleta. Nie koniec wstrząsów. Z funkcji wiceprezesa do spraw szkoleniowych zrezygnował Henryk Loska. To już naprawdę koniec świata!

Ktoś z pezetpeenowskiej „spółdzielni ucho” doniósł, że Loska złożył podpis na legitymacji wydanej przez PZPN bliżej nieznanemu mi „maharadży”, a więc obcokrajowcowi z Dalekiego Wschodu. Legitymacja jak legitymacja, a i podpis na niej jak każdy inny. Wiceprezes ma do tego prawo. Sęk jednak w tym, że owego „maharadżę” miały na oku PRL-owskie służby bezpieczeństwa. Przestraszyło to nowego prezesa PZPN, również państwowe władze sportowe robiły w gacie. Henio Loska zachował się elegancko. Nie czekał aż go ktoś pozbawi funkcji, sam podał się do dymisji. Na znaczącą pozycję w PZPN wrócił dopiero przed Mundialem w Meksyku. Odchodząc na swoje miejsce zaproponował Ryszarda Koncewicza. Wybitny trener był teraz szefem całego pionu szkolenia.

Mój status w tym wydziale nie uległ zmianie, nadal byłem tu społecznym sekretarzem. Rysio Kulesza miał w naszym towarzystwie dobry klimat dla swej pracy. Może wreszcie właśnie on przełamie naszą niemoc w rozgrywkach o mistrzostwo Europy? Zaczął dobrze, od wygranej ze Szwajcarią, ale nie Helweci byli w naszej grupie faworytem. Wyżej notowano Holandię i NRD. Silna konkurencja, tylko Islandia zupełnie się tu nie liczyła. Naszym przekleństwem okazała się reprezentacja sąsiadów zza Odry. W meczach ze Szwajcarią i Islandią

zdobyliśmy komplet punktów, aż trzy(!) w pojedynkach z Holandią, ale tylko jeden w konfrontacji z NRD.

W Lipsku na Sport-Forum nasi przegrali 1:2, a na Stadionie Śląskim w Chorzowie zremisowali 1:1. Te wpadki, to był dla nas prawdziwy szok. W Lipsku podczas degustacji „brunatnego niedźwiedzia” czyli szampana pomieszanego z koniakiem, kierownictwo naszej ekipy była przekonane, że łatwo ten mecz wygramy. Kulesza zaprosił Janka Ciszewskiego i mnie na przedmeczową odprawę. Też była budująca, potwierdziła powszechny optymizm. Rysio wymyślił wariant ryzykowany, na polskich boiskach wcześniej już znany, ale dla Niemców nowy i zaskakujący. Celem było pokrzyżowanie szyków obronie gospodarzy. Długo nie mogli sobie z tym poradzić. Napastnik Roman Ogaza utrudniał grę stoperowi Doernerowi. To był wówczas as atutowy NRD-owców, wzorował się w grze na stylu Franza Beckenbauera. Taka namiastka „cesarza” – libero.

Roman dobrze wykonywał swoje zadanie, a Zbyszek Boniek świetnie wykorzystywał lukę powstałą w niemieckiej obronie. Strzelił bramkę i „biało-czerwoni” prowadzili do przerwy 1:0. Zespół na fali. Kulesza triumfuje. Mistrz taktyki? Jednak po przerwie nasza drużyna nagle „siadła”, a gwiazda Rysia powoli gasła. Niemcy strzelili dwa gole i ostatecznie wygrali ten arcyważny mecz 2:1. To było irytujące. W kuluarach przebąkiwano, że NRD-owcy w czasie pauzy czymś struli Polaków, a sami zażyli niedozwolonych środków dopingujących. Biegali jak frygi, a nasi człapali po boisku i od czasu do czasu zbierało im się na wymioty. Do głęboko ukrytych „tajemnic” tego meczu wracano w PZPN dość często. Sugerowano, że ze strony zwycięzców nie była to „czysta gra”. Racjonalnie trudno było wytłumaczyć tak nagłą po przerwie metamorfozę obu drużyn.

Pomówienie? W każdej plotce tkwi ziarno prawdy. „Przekrętu” więc wykluczyć nie można. Ale faktem jest również, że my z tą reprezentacją nigdy za dobrze nie graliśmy. Toporny futbol NRD paraliżował nasze narodowe cechy – po-

lot i fantazję. Nie powiodło się nam w debiucie na Stadionie Śląskim, w roku 1970 w Rostocku przegraliśmy aż 0:5! Nie wygraliśmy też meczu rewanżowego w Chorzowie. Remis 1:1 w końcowym rozrachunku był na rękę Holendrom... To oni pojechali na finały mistrzostw Europy do Włoch. Nam po raz szósty pozostały tylko przykre wspomnienia po niepowodzeniach: najpierw Tadeusza Forysia, potem Ryszarda Koncewicza, Michała Matyasa i Kazimierza Górskiego, a teraz Ryszarda Kuleszy. Kto wreszcie przerwie ten zaczarowany krąg?

Ryszard Kulesza poczuł się przegrany. W obszernym dokumencie „**Analiza gry i szkolenia reprezentacji Polski w 1979 roku**” zaprezentowanym na jednym z zebrań prezydium Wydziału Szkolenia podkreślił to dość wyraźnie. Dostrzegł w tym kolejnym niepowodzeniu również własną winę, jednak nie wyłącznie w sferze czysto sportowej, także wobec własnej uległości wobec kierownictwa PZPN i... nadmiernej tolerancji wobec zawodników. Działacze nie wywiązywali się z zadań organizacyjnych. Natomiast piłkarze nie zawsze i nie wszędzie potrafili zachować odpowiedni dystans na linii trener – drużyna. Na przegraną z NRD w Lipsku spory wpływ miały też czynniki pozasportowe.

Dość częstym gościem na zebraniach prezydium Wydziału Szkolenia był sekretarz generalny PZPN, Konrad Kaleta. Przejął on tę odpowiedzialną funkcję po tragicznie zmarłym Zygmuncie Buhlu. Dwa różne typy. Zygmunt był niewątpliwie bardziej oddany piłkarstwu i przy całej swej dokładności w realizowaniu zadań i liczeniu się z każdym groszem, nie miał węża w kieszeni. Konrad wręcz przeciwnie – forsa, duże wpływy na konto PZPN i małe wydatki – to była jego idea fix. Zapewne bardziej pasowałby do dzisiejszego wizerunku naszego futbolu, gdzie w wielu klubach ligowych priorytetem jest dążenie do taniego kupna i drogiej sprzedaży zawodników, a nie troska o wysoki poziom sportowy drużyny. Dla Kalety pełna kasa też była ważniejsza niż wynik sportowy.

W pracy z reprezentacjami dochodziło w roku 1979 do niejednej kompromitacji. W meczu wygranym 2:0 w Tunezji Paweł Janas, nikt nie ukrywał, że to jeden z największych ulubieńców Kuleszy, grał w pożyczonych butach, a Leszek Ćmikiewicz w koszulce o rozmiarach „starszego brata”. Oberwał więc za długie rękawy. Zdegustowany ówczesny kierownik pierwszej reprezentacji Janusz Dudek opracował więc szczegółowy plan zapotrzebowania na sprzęt „Adidasa” dla drużyny A i olimpijskiej. I nic nie wskórał. Usłyszał tylko zniewalającą odpowiedź sekretarza generalnego: ... „*Jest ukierunkowanie władz naszego sportu, żeby mecze rozgrywać w polskim sprzęcie*”. No to rozgrywano. Nic więc dziwnego, że takich scen jak w Tunezji, było znacznie więcej.

Rodziły się w pionie szkolenia wątpliwości i liczne pytania: – Czy tego rodzaju decyzje nie doprowadzają graczy do frustracji? – Czy opieszałość i brak zrozumienia w COS-ie dla potrzeb piłkarstwa nie jest u niektórych zawodników źródłem opryskliwości i agresji? A może najbardziej wrażliwi, wszelkie kłopoty usiłują utopić w alkoholu? Okazji jest sporo: urodziny, imieniny, rozłąka z domem... Nadgorliwcom nie spodobało się, że Władek Żmuda na zgrupowanie do „Novotelu” w Warszawie przyjechał z dziewczyną. Chcieli go ukarać. Schlastano też Szymanowskiego, a był wtedy kapitanem reprezentacji, za rzekome „markowanie gry” w niektórych meczach. A on nie lubił (i z tym sobie nie radził), gdy usiłowano jego kosztem łątać każdą dziurę w obronie.

Kulesza starał się przekonać oponentów, że splot przyczyn, które spowodowały przegraną z NRD z Lipsku, zaczął się już na zgrupowaniu w Rembertowie. Nie zapewniono tam warunków niezbędnych dla racjonalnych przygotowań. Na prędcę przeniesiono się więc z jednostki wojskowej do „Novotelu”. Później miał być czarter do Lipska, ale to też skończyło się na obietnicach. Dlatego przegraliśmy? Selekcjoner dowodził, że bezpośrednią przyczyną 1:2 w Lipsku była zła postawa drugiej linii. Nie widział natomiast żadnych błędów w roz-

poznaniu przeciwnika (robił to Bernard Blaut) i w taktyce gry. Doktor Janusz Garlicki dostrzegł jednak przed tym meczem przejawy apatii u większości zawodników. Byli dziwnie ospali i nieporadni.

Przed następnymi meczami – powiedział – trzeba będzie mocniej pobudzić niektórych zawodników. W świetle podejrzanych zachowań piłkarzy NRD (po przerwie grali, jak szaleni) należy też przekonać działaczy FIFA o potrzebie przeprowadzania kontroli antydopingowych przed każdym międzypaństwowym meczem o punkty.

Rok 1979 nie był udany praktycznie dla wszystkich naszych reprezentacji. Pierwsza przegrała eliminacje mistrzostw Europy, olimpijska – choć była faworytem – nie sprostała Węgrom i Czechom, a juniorzy Under – 19 fatalnie spisali się na XXXII Turnieju UEFA w Austrii. Piłkarsko żadna z tych reprezentacji nie ustępowała rywalom, ale mentalnie nie dorosła do sukcesów. Atmosfera wokół piłkarstwa nie była więc najlepsza. Najostrzej krytykowano pion szkolenia, ale w PZPN niewiele zrobiono, by ułatwić mu pracę. Nadal nie było etatowego kierownika wyszkolenia, nie zapewniono też od lat obiecywanej pomocy biurowej dla Rady Trenerów. Szwankowała również praca Wydziału Zagranicznego. Tam tylko nieliczni etatowcy znali języki obce.

Z tego właśnie powodu do prawdziwej komedii absurdu doszło po powrocie drużyny olimpijskiej z Libii. W Trypolisie i Benghazi, gdzie grali podopieczni Edmunda Zientary i Waldemara Obrębskiego, poznaliśmy świat bez mięsa wieprzowego i alkoholu. Na szczęście pracował tam wtedy Jurek Słaboszowski. Szybko skumał się i zaprzyjaźnił z Amerykanami. Połączyło ich przede wszystkim wspólne pędzenie whisky i piwa. Codziennie podrzucał nam te samogony do hotelu. Nawet Ryszard Koncewicz chętnie to łykał. Już w kraju, na kolejnym zebraniu Wydziału Szkolenia słyszymy, że teraz czeka „olimpijczyków” wyprawa do Kanady. O, tam to już prawdziwej whisky nie zabraknie! Obeszliśmy się jed-

nak smakiem. Okazało się, że owszem – możemy tam polecieć, ale w roku 1980 i to dopiero po wygraniu eliminacji przedolimpijskich. No to nie ma tematu, bo nasi te wstępne gry już przefajdali. Wiceprezes Henryk Loska wyjaśnił to qui pro quo z rozbijającą szczerością: – **Źle odczytano tekst telegramu w Wydziale Zagranicznym PZPN.**

Kłopoty sprawiała również codzienna, nie zawsze zgodna z kierunkiem prezydium wydziału, polityka sekcji młodzieżowej. Popełniano tam błędy szkoleniowe i wychowawcze, ale nie poczuwano się do winy. Złej taneczniczki przeszkadza rąbek u spódnicy... Usiłowano więc tłumaczyć jawną nieporadność brakiem odpowiedniego sprzętu, kiedy indziej toreb podróżnych lub jednolitych garniturów. To nie są błahe sprawy, ale te niedopatrzzenia nie mogą usprawiedliwiać ignorancji i nagannych postaw kierownictwa. Tuszowało zbiorowe kradzieże w domach handlowych. Starszym działaczom, głównie tym z przedwojenną szkołą nie mogło się to podobać. Tak nie wolno! – przestrzegali, bo „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”. Ostatecznie juniorów ukarano, ale ich wychowawców całkowicie rozgrzeszono. Ryszard Konciewicz był zgorszony:

To nie może być tak, żeby całą winę zwałać na tych młodych ludzi. Są jeszcze trenerzy, działacze klubowi i opiekunowie z PZPN. W sprawach wychowawczych najpierw trzeba się uderzyć we własne piersi i rzetelnie rozliczyć się z samym sobą. Widzę potrzebę dokonania kompleksowej oceny dotychczasowej działalności całej sekcji młodzieżowej. Bo tu zaczyna się wszelkie zło...

Przewodniczący sekcji Marian Bednarczyk coś tam burczał pod nosem, ale rzeczowych argumentów na obronę nie miał żadnych. Źle działo się również w Radzie Trenerów. Tam sprawy etyki zawodowej, gorszące postawy moralne i zły wpływ na szkoloną młodzież też pozostawiały wiele do życzenia. Przykład zawsze idzie z góry. Jedno z najbardziej karygodnych zachowań trenera młod-

szego pokolenia opisałem w „Piłce Nożnej” w felietonie „**Ja cię kasuję...**”: Był dupkiem w zawodzie, a już beształ zasłużonych szkoleniowców.

...„Wszystko i wszystkich lekceważył. Jedynym dla niego miernikiem wartości działacza, trenera, zawodnika jest książeczka PKO i umiejętność omijania obowiązujących przepisów. Nikt nie zesłał go nam z innej planety. Żyje (i to dobrze) wśród nas. Bohater tej opowieści szczyli się nawet dyplomem wyższej uczelni wychowania fizycznego. Uważa, że to daje mu patent na mądrość. Lubi wypić, a tych którym nie podoba się jego zachowanie, obrzuca już nie stekiem lecz wulkanem przekleństw. Pieniacz niepospolity.

...Występ podchmielonego aplikanta nabrał rumieńców, kiedy jego promotor, znany trener z Łodzi serdecznie powitał kolegów z Warszawy. Rzutki gość, zamówił kawę i... koniaczek. Ryszard Koncewicz, spostrzegłszy, że w tym towarzystwie jest również ów przemądrzały asystent powszechnie lubianego mistrza, wyszedł z lokalu bocznymi drzwiami.

...Nieokrzesany kandydat cały czas pokrzykiwał. Za wszelką cenę starał się być gwiazdą wieczoru. Zaczepił Strejlaua:

– Masz tytuł magistra, a jesteś taki głupi. Pracujesz za grosze... Zarabiam znacznie więcej, niż ty!...

Potem zaatakował Henryka Loskę:

– Ja wiem! – wrzeszczał – Pan nazywa się Loska... Jest pan wiceprezesem PZPN, ale... nie wie, kim ja jestem! Ha, więc rozmowy nie będzie...

Zaczynałem mieć tego dość. Zapytałem znanego trenera:

– Kim właściwie jest ten arogancko zachowujący się żółtodziób?...

– Eee, to tęga głowa – odpowiedział. – Ma taką gadkę, że mógłby być mistrzem reklamy. Od siedmiu lat mówię mu, żeby zaczął chodzić po ziemi. Nie pomaga, wciąż szuka guza... Stary, daj spokój – grzecznie zwrócił się znany trener do nieznanego asystenta.

– Chwileczkę trenerku, chwileczkę... Jedziemy na tym samym wózku... Zwałą mnie, to i ty spadniesz. Ja cię kasuję!... Słyszysz? Kasuję! Siadaj! – rozkazał asystent.

– Trenerze – wygarnąłem ze złością mistrzowi – dopiero teraz wiem, dlaczego miał pan kłopoty w poprzednim klubie. Jeśli ma się takich asystentów...

Krewki kandydat na trenera rzucił się na mnie z pięściami. Powstrzymali go mocno zbulwersowani Andrzej Strejlau, Edmund Zientara i Waldemar Obłęski. Znany trener nie interweniował. Nikt nie wypił ani łyka kawy, nikt nie tknął koniaku. Znany trener i nieznany asystent zostali sami. Nazajutrz mistrz uczestniczył w naradzie, a czeladnik prowadził trening I-ligowej drużyny. Relację z haniebnego występu kłótliwego asystenta Ryszardowi Koncewiczowi zdali Tadeusz Foryś i Edmund Zientara. „Faja” nie przepuścił. Podsumowując przebieg i wyniki narady, najwięcej miejsca poświęcił narastającemu rozwydrzeniu wśród ligowych trenerów. Zaczął ostro:

Czas powiedzieć – Dość!

Potem wygarnął młodszym kolegom:

...„Nasza piłka nożna jest w impasie... Jaka jest w tym rola trenerów?... Odpowiadamy w polskim piłkarstwie za odcinek szkoleniowy, za poziom I i II ligi oraz postawę i siłę reprezentacji. Jest to podstawowe zadanie każdego trenera. Ale to jeszcze nie wszystko. PZPN, kluby, rodzice, kibice widzą w nas również wychowawców młodzieży. Tak, właśnie wychowawców! Nikt, nigdy i nigdzie nie zwolni nas z tego obowiązku! Tymczasem...

Przedstawia się nas w nie najlepszym świetle. Trzeba więc podjąć jak najszybciej wysiłki, by opinia „to trener piłki nożnej” była rozumiana przez ludzi sportu, młodzież, kibiców – jako przejaw dumy i nieskazitelnej czystości w futbolu. Tak kiedyś mówiono o trenerach. Jestem w naszym środowisku seniorem, ale nie lubuję się w umoralniających przemówieniach. Jednak dziś jest taka po-

trzeba. Zawód trenera jest nie tylko trudny, odpowiedzialny, ale i piękny, przynosi osobistą satysfakcję. Rola szkoleniowca jest więc w naszej dyscyplinie sportu wyjątkowo duża.

Czy wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę? Praktyka ostatnich lat nie zawsze to potwierdza. Wśród trenerów są tacy, którzy przynoszą wstyd naszemu środowisku... Coraz częściej głosi się opinie, że trenerzy są inspiratorami machlojek w piłkarstwie, że pośredniczą w kupowaniu i sprzedawaniu już nie tylko zawodników lecz także meczów i w przekupywaniu sędziów. Oto, do czego doszliśmy. O sukcesie w futbolu zaczynają decydować czynniki poza sportowe. Trzeba się z tego powodu rumienić i jednoznacznie określić trenerskie morale jako złe, niewłaściwe. Już samo mówienie o tym boli i zmusza do refleksji.

... Niepokoi mnie stała pogoń, zwłaszcza młodych trenerów, wyłącznie za ciepłymi posadkami. Osobista wartość szkoleniowca nie może być i – mam nadzieję – nie będzie określana tym, kto ile zarabia, ale faktycznymi jego umiejętnościami, wiedzą ogólną i piłkarską. Powstaje tu jednak coraz większe bagno. Ludzi o słabszych charakterach pieniądź rozsadza. Pojawili się przeto trenerzy o skłonnościach do lekkiego życia i nadużywania alkoholu. My to widzimy i nie będziemy ukrywać bądź firmować zwykłego łobuzerstwa. Zło trzeba wyplenić z naszego zawodu!

Jeśli ktoś poczuł, że te przykre słowa mogą w jakimś stopniu i jego dotyczyć, a przejawy złego zachowania, więcej – chuligaństwa mieliśmy też na tej naradzie, ma jeszcze czas na opamiętanie. Wierzę w ludzi, w was koledzy i w naszą pracę. Bądźmy pierwsi, którzy postawią wysoką tamę od lat narastającym nieprawidłowościom w polskim piłkarstwie”.

Dokładnie 6 lipca 1979 roku Ryszard Koncewicz już w randze wiceprezesa PZPN, przejął od Henryka Loski kierownictwo Wydziału Szkolenia. Zapowiedział, że będzie mniej tolerancyjny wobec opiesziałych działaczy niż jego po-

przednik i bardziej stanowczy wobec Zarządu PZPN. Wreszcie Wydział musi mieć kierownika wyszkolenia, fachową obsługę do spraw biurowych i drugiego trenera do pracy z młodzieżą. Zapowiedział, że etatowym szefem Wydziału będzie Antoni Piechniczek. Pobożne życzenie. Trzy tygodnie później w tej nowej roli „Fajka” poniósł pierwszą porażkę. Ze względów finansowych i mieszkaniowych Antek nie przeniósł się do Warszawy.

Koncowicz jednak nie zrezygnował z usług Piechniczka. W kraju korzystał z jego pomocy w pracach sekcji trenerskiej, a zagranicą w reprezentowaniu PZPN w międzynarodowych naradach szkoleniowych. Niepowodzenie na starcie w sprawowaniu trudnej roli w PZPN nie zniechęciło pana Ryszarda. Nadal walczył o wysoką pozycję szkolenia w PZPN. Ale kłopoty się mnożyły, tak wewnątrz Związku, jak i na zewnątrz, w biurach Głównego Komitetu. Nie było pieniędzy na zatrudnienie kolejnych trenerów, a GKFiS nie wydał zgody (tak wtedy wyglądała samodzielność PZPN) na zoperowanie kontuzjowanego Władka Żmudy w klinice w Wiedniu. Sugerowano, że u nas też można...

– Przegrałem drobne potyczki – pocieszał się „Fajka”, ale wojny o wyższą rangę, większą samodzielność i odpowiedzialność Wydziału Szkolenia nie przegram.

Optymista. Coraz częściej i coraz wyraźniej inicjatywy naszego pionu były torpedowane nie tylko na szczytach władzy państwowej, ale również na zebraniach Zarządu Związku. Osamotnieni, powoli zaczynaliśmy się upodabniać do Don Kichota walczącego z wiatrami. Wobec przedłużającego się wakatu na stanowisku kierownika wyszkolenia znowu niemal przez cały dzień do dyspozycji Wydziału byliśmy (społecznie), Tadeusz Foryś do pory obiadowej, a ja po pracy w „Piłce Nożnej”. Zastanawialiśmy się, któremu z trenerów powierzyć pracę z drugą reprezentacją juniorów. Tu nie było zgody. Magister był za szkoleniowcem bardziej doświadczonym, ja za młodym, ambitnym, wciąż jeszcze spraw-

nym fizycznie i piłkarsko, dobrym prezydentem na zajęciach. Takim wydał mi się Mieczysław Broniszewski.

Forysia to nie przekonało, był za kimś z grupy: Mariański z Opola, Gurtowski z Bydgoszczy i Jaćwiąg z Katowic. Zdecydowało głosowanie. Prezydium Wydziału Szkolenia poparło mojego kandydata, ale nie dlatego że był młodszy, ile z racji miejsca zamieszkania. Rogatki Karczewa można było dostrzec w Warszawie już ze szczytowych pięter Pałacu Kultury i Nauki. Podczas kilkuletniej pracy w PZPN Broniszewski dowiedział, że nie tylko mała odległość, jaka dzieliła Karczew od Warszawy, była jego atutem. Najpierw był dobrym dublerem Henryka Apostela, a potem już samodzielnie sięgał z juniorami po medale w turniejach UEFA i światowych rozgrywkach o Puchar Coca Coli. Z czasem jednak i jego dopadli prowokatorzy. Przypięli mu łatkę przemytnika. Odszedł z PZPN w niesławie. Wrócił na Aleje Ujazdowskie 22 dopiero w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy selekcjonerem został Henryk Apostel. Mieczysław Broniszewski był nawet jego asystentem.

Sekcja młodzieżowa, mimo licznych błędów popełnianych w organizacji, szkoleniu i wychowaniu juniorów, usiłowała stworzyć wrażenie, że jest główną siłą sprawczą w PZPN. Poprzedni selekcjoner Jacek Gmoch jednak nie dał sobie w kaszę dmuchać. Preferował formy pracy ukierunkowane przede wszystkim na potrzeby dorosłego piłkarstwa; młodzi mają obowiązek w tym pomagać. Był przeciwny faworyzowaniu działaczy i trenerów o mentalności minimalistów. Nie mogą ich zadowalać doraźne wyniki uzyskiwane na turniejach UEFA i FIFA. To nie jest główny cel ich pracy. Przede wszystkim muszą pamiętać o zobowiązaniach wobec ligi i drużyny narodowej. Ryszard Kulesza był w tym względzie bardziej tolerancyjny. Starał się nie wadzić nikomu. Bednarczyk to wykorzystywał. Oponentów gasił rozbajającym pytaniem: – *Co to, już nie kochasz Marianka?*

Przed odlotem zespołu Under – 20 do Japonii na turniej FIFA sponsorowany przez Coca Colę pułkownik Bednarczyk i mnie niezłe wdarł się za skórę. Z klauzuli organizatorów wyraźnie wynikało, że w składzie każdej ekipy musi się znaleźć dziennikarz. Dość długo, z racji wyuczonego i wykonywanego zawodu oraz funkcji sprawowanych w Wydziale Szkolenia PZPN, byłem jedynym kandydatem. Wypełniłem nawet odpowiednie ankiety i wnioski wizowe wymagane przez Japończyków, przyjąłem też zamówienie red. Macieja Polkowskiego na przekazywanie relacji z Tokio dla „Przeglądu Sportowego”. Przedwcześnie. W odpowiednim momencie kropkę nad „i” w tej sprawie postawił resort o prerogatywach szczególnych. Do Japonii, nie w charakterze kierownika ekipy, bo był nim Ryszard Koncewicz lecz sprawozdawcy prasowego, poleciał płk mgr Marian Bednarczyk. Komentarz zbyteczny.

W końcu 1979 roku pracę Wydziału Szkolenia, zwłaszcza wyniki pierwszej reprezentacji Polski, oceniono na zebraniu Zarządu PZPN. Dintojry nie było, czas goił rany. O niewypale juniorów na turnieju UEFA w Austrii już zapomniano, zresztą osłodził go udany występ (czwarte miejsce) zespołu Under – 20 na imprezie Coca Coli w Japonii. Reprezentacja w eliminacjach mistrzostw Europy zagrała na miarę swoich możliwości. Wciąż wyżej ceniono tu Holendrów, choć akurat w meczach z Polską w Chorzowie przegrali 0:2, a w Amsterdamie tylko zremisowali 1:1. Ówczesny prezes PZPN, generał Marian Ryba miał więc podstawy do stwierdzenia, że *„pod względem sportowym, pierwsza reprezentacja dobrze wykonała swoje zadanie”*. Trenera Kuleszę ucieszyło to rozgrzeszenie, a także „błogosławieństwo” przed zbliżającymi się eliminacjami do Mistrzostw Świata w Hiszpanii.

Selekcjoner już w końcu 1979 roku podał długą listę zawodników, z którymi zamierza pracować przed Espana '82. W ogromnej większości byli to ci sami zawodnicy, którzy... przegrali batalię o mistrzostwo Europy. W Wydziale

Szkolenia przyjęliśmy to z dużą rezerwą, bo... przegrani zwykle nie mają racji. Czy w tej sytuacji w roku 1980 nadal korzystać z usług: Zygmunta Kukli, Wojciecha Rudego, Adama Topolskiego, Zbigniewa Płaszewskiego, Romana Ogazy, Włodzimierza Mazura, Antoniego Szymanowskiego i... Grzegorza Laty. Pozycji króla strzelców z 1974 roku twardo bronił Ryszard Kulesza. Polegał na nim, jak na Zawiszy.

Pan Rysio nie opracował jednak na czas założeń programowych na 1980 rok. W tej sytuacji Ryszard Koncewicz zasugerował, aby każdy z członków Wydziału zaproponował własną koncepcję takiego dokumentu. Kulesza słusznie uznał to za gest bardzo mu przyjazny. Ja też pracowałem na rachunek całego Wydziału Szkolenia. Z nikim się nie ścigałem, ale prawda jest taka, że prezydium jednomyślnie przyjęło moją propozycję. W protokóle numer 23 z dnia 9 listopada 1979 roku można przeczytać, jaka była moja wizja niezbędnego opracowania:

Stan faktyczny kadry narodowej i jej wartość sportowa jesienią 1978 roku po ustąpieniu Jacka Gmocha.

Zadania postawione przed Kuleszą przez PZPN.

Sposób realizacji postanowień i uzyskane wyniki.

Problemy, które pojawiły się w czasie pracy z reprezentacją:

- w kontaktach z klubami;
- w organizowaniu zgrupowań szkoleniowych;
- w nawiązywaniu kontaktów międzynarodowych;
- weryfikacji materiału ludzkiego, z uwzględnieniem elementów szkoleniowych i wychowawczych.

Założenia organizacyjno-szkoleniowe na lata 1980 – 1981.

Niezbędne warunki dla sprawnego przeprowadzenia „Operacji Mundial ‘82”.

Dokumentacja i określenie wysokości premii za ewentualny awans do finałów mistrzostw świata.

Selekcjoner niemal przez cały rok 1980 w miarę potrzeb korzystał z tych propozycji, ale wszystkich nie był w stanie zrealizować. Nie mógł też w pełni wykorzystać swoich autorskich pomysłów, zmierzających do przebudowy reprezentacji. Rzeczywistość brutalnie je przerwała. Zanim jednak „era Kuleszy”, trwająca tylko dwa lata, przeszła do niechlubnej historii, niemal cały rok 1980 był dla Rysia dość udany. Najcenniejsze było zwycięstwo w Barcelonie nad Hiszpanią 2:1 (wreszcie dwie bramki Andrzeja Iwana) i całkiem udane tournee po Ameryce Południowej: z Kolumbią 4:1, z Boliwią 1:0, z Brazylią 1:1 oraz nikła przegrana z aktualnym mistrzem świata Argentyną 1:2. Wysoko należało też ocenić remis 2:2 z Włochami w Turynie i w Chorzowie z Czechosłowacją 1:1.

W meczu z Czechami po raz ostatni w reprezentacji wystąpił Włodzimierz Lubański. Jak to szybko minęło, choć tak długo trwało? We wrześniu 1963 roku w Szczecinie byłem przy reprezentacyjnym chrzcie 16-letniego juniora, a teraz – również we wrześniu, ale 17 lat później – żegnałem zasłużonego dla drużyny narodowej 33-letniego jej nestora. I tam wtedy i tu teraz strzelał bramki. W Szczecinie jedną z dziewięciu, w Chorzowie dającą nam remis w pojedynku z wicemistrzem Europy. Wzruszyłem się ogromnie. W głowie kołatało też natrętne pytanie: – *Kiedy na polskich boiskach pojawi się równie utalentowany napastnik?*

AFERA NA OKEĆCIU I... DRESZCZOWIEC NA MALCIE

Wkrótce rozpoczęły się w naszej grupie mecze eliminacyjne przed hiszpańskim Mundialem. Znowu zmagaliśmy się z NRD. Grupa mała, tworzyły ją zaledwie trzy reprezentacje: Malta, Polska i NRD. Od początku wiadomo było, że o przepustkę na Półwysep Iberyjski decydujący bój stoczą sąsiedzi, których dzieli Odra. Kulesza marzył o udanym rewanżu za niepowodzenie w eliminacjach mistrzostw Europy. Powtarzał przy każdej okazji: – *Jureczku, teraz już wiem, jak*

dobrac się Niemcom do skóry! Miałem podobne odczucia. Reprezentacja mocno stała na nogach. Niespodziewaną, ale zasłużoną wygraną w Barcelonie, ugruntowała wysokim 5:1 z Algierią w Krakowie.

W oczach dojrzewali do reprezentacyjnych zadań: Andrzej Iwan, Janusz Kupcewicz, Piotr Skrobowski, Włodzimierz Smolarek, Leszek Lipka i nieco od nich starszy „odrodzony” Stanisław Terlecki. To już zupełnie nowa fala. Nad tym jeszcze nieopierzonym towarzystwem opiekuńcze skrzydła roztańczyli: Józef Młynarczyk, Władysław Żmuda, Paweł Janas, Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach i już piłkarz całą gębą Zbigniew Boniek. Wybuchowa mieszanka młodości z rutyną? Drużyna przyszłości? Kandydaci na kolejny medal mistrzostw świata?

Najpierw trzeba wygrać eliminacje. Na pierwszy ogień poszedł mecz z Maltą w La Valletta. Wyprawę na tę maleńką wysepkę poprzedziły jednak wydarzenia w sporcie raczej rzadko spotykane, w każdym razie nietypowe. Był początek grudnia, już po Barbórcie i świętym Mikołaju. To nic, byliśmy przekonani, że na Malcie okazjonalne prezenty, choć o jeden dzień później, na pewno nie ominą i naszych piłkarzy. Ze względu na zimową u nas aurę przedmeczowe zgrupowanie zorganizowano we Włoszech, konkretnie w okolicach Peruggi. Jednak los lubi płatać figle. W dniu odlotu na lotnisku Okęcie w Warszawie okazało się, że Józek Młynarczyk nie jest w „najlepszej formie”.

Kierownictwo ekipy otrzymało od „życzliwych” informację, że całą noc poprzedzającą podróż „z ziemi polskiej do włoskiej”, spędził w kilku lokalach rozrywkowych stolicy i na kwaterze prywatnej. Towarzyszyli mu żądni sensacji dziennikarze. Niegodziwcy, wykorzystali słabość Młynarczyka i jak w tej piosence *„Józek nie daruję ci tej nocy”* ujawnili swoją wredną postawę w radiu i telewizji. Finał był zaskakujący. Postanowiono wstrzymać wyjazd bramkarza do Włoch. Wiem, że Kulesza był temu przeciwny, nie miał też ochoty na ukaranie

zawodnika szef ekipy inżynier Zbigniew Należyty, tylko naczelne kierownictwo PZPN, być może inspirowane przez kogoś z zewnątrz, było innego zdania. Szlaban dla Młynarczyka!

Trzej piłkarze: Władysław Żmuda, Zbigniew Boniek i Stanisław Terlecki stanęli w obronie kolegi. Władzy to nie mogło się podobać. Posypały się kolejne kary, co w sferze sportowej oznaczało dalsze osłabienie reprezentacji. W wyrażnie spóźnionej trosce o czystość moralną w piłkarstwie z ekipy na Maltę wyłączono najwybitniejszych zawodników. Zabawna początkowo aferka rychło przerodziła się w skandal. Żerowały na tym media. Do krytycznych przekazów filmowych w telewizji i pokrzykiwań w radiu przyłączyła się prasa, w tym – ubolewam nad tym, oj ubolewam, moja pierwsza miłość w zawodzie „Przegląd Sportowy”. Młynarczyka i jego trzech kolegów z drużyny nazwano „bandą czworga”, jakby to były czasy średniowiecznej inkwizycji lub ciągle żywej chińskiej „rewolucji kulturalnej”. Napisano tak z własnej woli czy może na czyjeś polecenie? Bardziej po ludzku oceniła to przykre wydarzenie „Piłka Nożna”:

...Zasługa to przede wszystkim działaczy i to tych, którzy piastowali najbardziej eksponowane funkcje. W klubach, a nawet i – w pewnym procencie – PZPN. Wielu z nich arbitralnie narzucając „wytyczne” działaczom bardziej szeregowym, za ich pośrednictwem przyczyniało się do upadku moralności futbolistów. W każdym razie przykład ze wspomnianej bezkarności – najczęściej idzie z góry... Z pewnych resortów względnie organizacji i niektórych federacji sportowych. Chociaż teoretycznie ten ostatni przypadek nie jest aż tak zły, wszak lepsze to, niż odgórne „mianowanie” działaczy i przynoszenie prezesów w teczkach...

Po takim naszym komentarzu (piłkarze dobrze to przyjęli) bez żadnych obaw mogłem się udać, już w drugą w mojej karierze dziennikarskiej, podróż na Maltę. Kulesza był jednak załamany: